



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Hanna Wustinger-Wodzicka

## Walka o przetrwanie

Czerwiec 1939 roku był piękny! Pamiętam, jak paradowałam dumnie z płaszczkiem przewieszonym przez ramię, z połyskującą w słońcu tarczą gimnazjum, do którego właśnie zdałam. Świat był piękny – przed nami dwa miesiące wspaniałych wakacji. Najpierw w lipcu do Rabki na kolonie urządzone przez Rodzinę Urzędniczą w taty instytucji. Na kolonie wówczas jeździło się trochę inaczej niż obecnie. Wiozło się z sobą toboły z pościelą, ręczniki i wszystko to, co niezbędne dla higieny. Bagaże były dostarczone na dworzec wcześniej. Wyjazd był wieczorem, więc mamusia zabrała nas przed południem do miasta. Sama poszła załatwiać różne sprawy, a nas „podrzuciła” do wujka Feliksa na Bielańską, gdzie miałyśmy na nią czekać. Wujek był lekarzem, więc o tej porze był w szpitalu. Zostałyśmy z siostrą pod opieką Lodki – gosposi.

Najpierw snułyśmy się po pokojach podziwiając po raz enty meble w gabinecie wujka oraz ściany zawieszane prawie po sufit pięknymi miniaturami i porcelaną. W końcu znużone zasnęłyśmy na kanapie. Obudziło mnie delikatne dotknięcie. To wujek przyszedł ze szpitala i chciał się z nami przywitać. W końcu po krótkiej rozmowie z tym wspaniałym człowiekiem zostałyśmy zaproszone do kawiarni Semadeniego. Wujek wiedział, czym może nam zrobić przyjemność. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy miałyśmy okazję odwiedzić ten wspaniały lokal.

Gdy zaspokoiliśmy swoje apetyty wróciłyśmy w doskonałych humorach do domu, skąd niedługo potem zabrała nas mamusia. Na dworcu spotkałyśmy się z tatusiem i dziadkiem, którzy przybyli nas pożegnać. Nie obyło się bez łez. Uświadomiłyśmy sobie raptem, że wszyscy kochani zostaną na peronie, a nas sapiąca lokomotywa uniesie w czerń nocy. Nie tylko nam zresztą było smutno. Wszystkie dzieci smęciły sobie na początku, ale potem cudowne nasze panie wychowawczynie rozruszały nas. Śpiewałyśmy (na kolonie jechały same dziewczynki), śmiałyśmy się, aż w końcu znużone pozasypiałyśmy, aby obudzić się rano we pięknym górskim krajobrazie.

Boże, ileż to było śmiechu i okrzyków radości, gdy wysiadałyśmy na małej stacyjce w Rabce. Tu już czekały na nas furki ze śmiesznymi kabłąkami obciążonymi płótnem. Przypominały tabory cygańskie. Zawiozły nas one do dwóch willi, w których miałyśmy zamieszkać. Cały miesiąc wspaniałych wakacji! Już nie tęskniłyśmy do Rodziców – tyle było atrakcji. Ach, nie zapomnę mojej „kąpieli” w Rabie! Wybierałyśmy się z naszymi paniami na wycieczkę. Przez Rabę była przerzucona kładka z umocowaną do niej z jednej strony poręczą. Oparta o poręcz stała jedna z koleżanek. W momencie, gdy przechodziłam koło niej, obsunęły się jej stopy i zepchnęła mnie z tej kładki. Wpadłam głową w dół do sztucznie zrobionego zbiornika z wodą. Było to coś w rodzaju studni ułożonej z kamieni. Miałam szczęście, że nie

uderzyłam głową w tę kamienną „cembrowinę”. Panie natychmiast wyciągnęły mnie z topieli, lecz ja już straciłam chęć na wycieczkę. Poszłam do pokoju przebrać się i ochłoniąć z wrażeń.

Miałymy różne „przednie” pomysły. Na przykład w czasie ciszy poobiedniej wymykałyśmy się do ogrodu, aby podjadać bób prosto z grządek. Nie muszę dodawać, że grządki do nas nie należały i była to chyba pospolita kradzież. Gdy gaździna znalazła na ziemi lupiny po ziarnach bobu, sprawa się wydała. No cóż, cała nasza czwórka została wpisana na czarną listę, która wisiała przytwierdzona do kuchennego pieca. Nie pamiętam jakiej dodatkowej karze zostałyśmy poddane, ale pamiętam, jak zemściłyśmy się na naszej ukochanej wychowawczyni, która sprawę ujawniła. Wycieczka do lasu okazała się być owocna w trofea, które pod sweterkami przyniosłyśmy do domu. Były to dwa jeże. Oczekaliśmy aż pani poszła na boisko do piłki nożnej i zakradłyśmy się do jej sypialni. Tam ulokowałyśmy nasze prześliczne zwierzątka pod prześcieradłem na łóżku. Jeżyki nie wyglądały groźnie, kolce miały schowane. Chciałyśmy panią tylko przestraszyć, ale... Któż to mógł przewidzieć, że gdy ta zacna osoba usiądzie na łóżku, jeżyki w samoobronie wysuną swą broń? Boże, cóż to była za awantura! Znow ta nieszczęsna czarna lista...

Po dwóch dniach przyjechali po nas Rodzice. Wielka radość! Zabrali nas do Rabki, czyli do „śródmieścia”. Odwiedziliśmy z nimi różne sklepy z pamiątkami, a na odpoczynek poszliśmy do pensjonatu, w którym Rodzice się zatrzymali. Następnego dnia zabrali nas z kolonii. Zostały tylko toboły z pościelą, które miały wrócić z kolonią do Warszawy. Znow pożegnanie było łzawe – z koleżankami, z paniami – wychowawczyniami z prawdziwego zdarzenia.

I znow pociąg sapiąc i dysząc wywoził nas w daleką podróż – tym razem w stronę Krakowa. W Krakowie poszliśmy na Wawel, zwiedziliśmy komnaty królewskie, potem złożyliśmy hołd królom w podziemiach katedry. Zobaczyliśmy jeszcze Kościół Mariacki, Sukiennice i cały rynek.

Następnego dnia wyruszyliśmy w kierunku Lwowa linią podkarpacką, którą w XIX w. budował podobno brat mojej babci Teresy. We Lwowie znow spacer, odwiedzanie przyjaciół, pamiątkowe zdjęcie pod kopcem Unii Lubelskiej i oglądanie Panoramy Raławickiej. Niezapomniane wrażenie wywarły na nas cmentarze – Orląt Lwowskich i Łyczakowski.

Żegnamy przeszkloną kopułę dworca lwowskiego odjeżdżając do Stanisławowa. Tu półtoragodzinne oczekiwanie na kolejny pociąg, który zawiezie nas do urokliwych Monasterzysk. Ale zanim tam dojedziemy dwukrotnie „przekraczamy” Dniestr. Widoki niezapomniane! Już widać Łysą Górę, wnet pojawia się Podhorodne, dokąd zawsze chodzimy na spacer i obowiązkowo na festyny i kolorowe jarmarki, na których można się tak świetnie zabawić, a do tego wygrać na loterii różne wspaniałe rzeczy – od blaszanych kogucików do fajansowych talerzy. Tam też odbywały się ogniska harcerskie, na które byłam zapraszana jako harcerka z Warszawy.

Jesteśmy na miejscu. Już widać stację, a na peronie powiewające białe chusteczki. Powitania. Pełno śmiechu i krzyku. Patrę w kierunku skarpy, na której wznosi się wspaniały dom ciotki Marysi, wystrojem przypominający pałac. Wybudowała go dużym wysiłkiem, abyśmy mieli gdzie przyjeżdżać na wakacje. Na ganku okolonym kolumnami i obrośniętym winem stoi Babunia powiewając chusteczką. Tak nas witała i tak samo żegnała.

Cały dom ożył. Byliśmy już wszyscy oprócz stryja Henryka, który jako zawodowy wojskowy był już na manewrach. Program pobytu jak zwykle był urozmaicony: spotkania z przyjaciółmi, wspólne zabawy, gry w siatkówkę, łażenie po drzewach i przez płoty. W niedzielę obowiązkowa msza święta w kościele parafialnym, potem udział w odpuszczeniu. Czasami wstępowałyśmy do cerkwi. Potem lody. Zachodziliśmy do cukierni o dużych, mrocznych salach, gdzie pałaszowałyśmy ogromne porcje przysmaku.

Niezapomniane były wieczory. Po kolacji zasiadaliśmy wszyscy na tarasie i zaczynały się śpiewy. Najwięcej śpiewaliśmy piosenek harcerskich, bo ciocia Zosia i ja byłyśmy harcerkami. Po rosie niosły się dźwięki mandolin i bałałajek, którym wtórowały śpiewki ukraińskie.

Przyszła połowa sierpnia i oto dostaję – ja osobiście – zawiadomienie ze stacji, abym się zgłosiła po przesyłkę, która dla mnie nadeszła. Serce mi łomotało. Co to może być? Biegnę i oczom nie wierzę – wyprowadzają dla mnie precudny rower Kamińskiego. To prezent od mojego ukochanego tatuśka za zdanie egzaminu do gimnazjum.

Nie muszę opisywać, z jakim fasonem zajechałam do domu, gdzie wszyscy już oczekiwali na mnie zgromadzeni u furty. Nieprzytomna ze szczęścia szalałam na rowerze od rana do wieczora. Tata też nie posiadał się z radości, że sprawił mi tak wielką frajdę. Niestety, nie trwało to jednak długo. Tatuś dostał telegram: „stawić się w pracy 28 sierpnia”.

Szybkie przygotowania do wyjazdu. Pakowanie, ostatnie rozmowy, ostatni wieczór na tarasie wśród kumkania żab, cykad, klekotania bocianów, zebranych na ostatni sejm przed odlotem. Jak co wieczór śpiewamy na tarasie. Z ogrodu niesie się zapach róż i floksów... Lampa naftowa rozjaśnia swym blaskiem nasze twarze – ludzi sobie bliskich, którzy mimo śpiewu niosącego się hen w dal po rosie myślą tylko o bliskim rozstaniu, nie wiadomo na jak długo... Tatuś oczywiście powiedział, że w razie wybuchu wojny ja i Basia wrócimy z mamusią do Monasterzysk, więc rower zostanie. Została również

ciocia Mycha z sześciolletnią Micią. Znów pożegnania. Znów Babcia na tarasie powiewa białą chusteczką. To było ostatnie nasze z nią pożegnanie...

W Warszawie atmosfera podniecenia. Tatuś z kartą mobilizacyjną wyrusza do Lublina. Mamusia odwozi nas do Zielonki do drugiej Babcy – swojej matki. Sama wraca do Warszawy szykować najpotrzebniejsze rzeczy, które będziemy musiały z sobą zabrać (do Monasterzysk). W Zielonce wyprawy do lasu, zapach dojrzałego lata, pachną owoce, kwiaty, sosny.

1 września 1939 roku budzą nas jakieś huki. Początkowo wszyscy myśleli, że to ćwiczenia artylerii w Rembertowie. Ale radio wyprowadziło nas z błędu. To wojna! Hitler napadł na Polskę! Przebiegam w myślach wszystkie przykazania na wypadek wojny, które nam włączano do głowy w szkole. No tak. Przede wszystkim trzeba nakleić białe paski papieru na szyby, żeby nie wypadały. W następnej kolejności trzeba między szyby w podwójnych oknach powpychać jaśki, poduszki z kanapy, co się da, bo mogą rozsiewać gazy.

Napracowałam się z Babcją, oj napracowałam, ale efekty nie były zadowalające, bo niestety poduszki nie pozwalały się oknom zamknąć. Koszmar. Jedyną pociechą jest to, że może nie zastosują gazów. Mamusia przyjechała po nas 5 września. Babunia moja najukochańsza odprowadziła nas na dworzec i gdy byliśmy już w przedziale drżącą ręką wyjęła zawieszony na szyi woreczek ze srebrnymi monetami, który dała mamie „abyśmy nie były głodne w czasie tej wędrówki do Monasterzysk”.

W domu czekała na nas cioteczna siostra mamusi Marysia. Wyruszyliśmy razem na tę wyprawę, bo ona też została sama. Jej mąż od dawna był już skoszarowany. Wyruszyliśmy 7 września, oczywiście na piechotę. Niewiele można było z sobą zabrać. Ta wędrówka w kierunku mostu Poniatowskiego przypominała trochę wyjście na Pasterkę. Ludzie z różnych bocznych ścieżek łączyli się w jedną dużą rodzinę. Tylko że tu nie było śniegu, nie było świątyni. Tłum zmierzał na Dworzec Wschodni, chcąc jak najszybciej odjechać, możliwie najdalej od bombardowanej stolicy.

Jechaliśmy odkrytymi platformami. Księżyc świecił ostro i było widno, jak w dzień. Wkrótce i tu nas dopadli. Uciekaliśmy z pociągu przed pociskami rzucając się w kartoflisko. Na szczęście bomby trafiały w opustoszałe już wagony, albo obok nich. Gdy samoloty odleciały pozbieraliśmy się z ziemi razem z manatkami i przeszliśmy na szosę ciągnącą się wzdłuż willi tonących w ogrodach. Przy furtkach stały stoliki, na których było przygotowane picie dla zmęczonych ludzi. Wędrowaliśmy tak do rana. Już nie pamiętam czy to było wczesnym rankiem czy trochę później, gdy usłyszeliśmy dźwięki muzyki tanecznej, odtwarzanej na patefonie. To był szok. My, tułacze, nie wiemy, gdzie będziemy mogli złożyć głowy do odpoczynku, a tu wesoły piknik, jakby nigdy nic się nie stało... Gdy zbliżyliśmy się do tej enklawy udawanego spokoju okazało się, że jest to pensjonat, w którym można coś zjeść. Weszliśmy. Zaproszono nas do jadalni, gdzie przy pięknie nakrytym stole zasiadali poszczególni goście i zjadłszy ustępowali miejsca innym. Co za raj! Zjeść na białym obrusie, na pięknej porcelanie, eleganckimi sztućcami! W trakcie posiłku dowiedzieliśmy się, że te piękne, rozbawione młode damy to rezerwistki, których mężowie powołani zostali do wojska.

Niestety nie można było zbyt długo odpoczywać. Czekala nas jeszcze długa droga. Czasami wstępowałyśmy do jakiegoś gospodarza, kupując owoce lub mleko. Gdy tak szłyśmy ścieżką wzdłuż lasu (z drugiej strony było pole) nadleciał samolot, biorąc nas sobie za cel. Leciał bardzo nisko, tak że dokładnie było widać twarz bestii siedzącej za sterem z łokciem wywieszonym za otwarte okno. Siekł bezlitośnie z karabinu nie żałując amunicji. Postanowiłyśmy skryć się w lesie. Usiadłyśmy przytulone do siebie, odmawiając głośno litanię do Matki Boskiej Częstochowskiej, a kulki padały obok nas (wskazywały na to „podskakujące” drobiny trawy). Gdy wreszcie odleciał milczenie, które dotychczas panowało przerwałam ja krzyżąc na Maryskę: „To przez ciebie, bo ubrałaś się jak na spacer, w biały kostium i берет, a nas w szkole uczyli, że trzeba zakładać ciemne ubranie, żeby nie zwracać uwagi wroga!”. Zapomniałam dodać, że na tej ścieżce byliśmy same. To tylko nam poświęcił swą uwagę ten cietrzew za sterami! Do dzisiaj widzę jego wyszczerzone z nienawiści zęby.

Dalsza wędrówka zawiadła nas do wsi Słup pod Garwolinem. Zamieszkałyśmy u bardzo miłego gospodarza, który nazywał się Józef Zadrożyński. Kiedyś pojechaliśmy z nim na pole, aby zwieźć snopki do stodoły. Bardzo nas bawiło siedzenie na samym czubku kopy. Niestety, uciecha trwała krótko, gdyż koło wozu wyskoczyło z koleiny, wóz przechylił się i nagle znalazłyśmy się pod stertą siana. Niewesoły byłby nasz los, gdyby nie natychmiastowa pomoc gospodarza i jego syna.

Po parodniowej sielance (słońce świeciło, trawy pachniały, było świeże mleko i jaja) wyruszyliśmy dalej na południe, wciąż mając na celu Monasterzyska. Wędrując od zagrody do zagrody trafiliśmy na duże gospodarstwo, w którym po raz pierwszy zobaczyłam centryfugę. Z jednej strony wlewało się do niej mleko, a z drugiej wychodziła śmietana. Gdy po pracy z centryfugą wyszłam przed dom, zadrżałam z lęku i ze zdziwienia – na tle błękitu nieba i wschodzącego słońca ujrzałam wylaniających się zza wzgórza trzech jeźdźców w pikelhaubach. Zastygłam w bezruchu, oni jak gdyby też, po czym zawrócili i z wolna oddalili się. Kiedy powiedziałam mamusi o tym zdarzeniu zapadło postanowienie, że pojedziemy nie na wschód a do Zielonki do wujka Stefana (brata Babcy) – właściciela dużej cegielni i tam uradzimy co dalej robić.

W domu wujostwa było cicho, spokojnie. Saba, ich córka, puszczała sobie płyty: „Ta ostatnia niedziela”, „Tango milonga”, „Ach śpij kochanie” itd. Może byśmy zostały tam dłużej, gdyby nie pojawiła się jakaś pani, która zabrała się do wróżenia. Wywróżyła mamusi, że tatuś jest już w domu i nas szuka. Nie trzeba nam było dwa razy powtarzać. Wracamy do domu. Wujek wyszykował podwozę i jedziemy. Warszawa była już zajęta przez Niemców. Gdy nasza fura przebijała się przez tłum ludzi wracających z wędrówki mignął mi przed oczami tatuś na rowerze i w berecie. Zawołałam głośno, ale ktośby usłyszał w tym zgiełku, tym bardziej, że jechaliśmy w przeciwnie strony. Mamusia powiedziała, że na pewno mi się przywidziało. Po kilku godzinach sytuacja się wyjaśniła. To był tatuś. Pożyczył rower od sąsiada i pojechał na Mokotów do wujostwa (brat mamy i jego żona), aby dowiedzieć się co u nich słyhać. I jak tu nie wierzyć wróżbom?

Tatuś ze swą kartą mobilizacyjną i plecakiem, w który mamusia zapakowała mu na drogę najlepszą bieliznę i inne potrzebne do życia rzeczy, wylądował w Lublinie. Tu jednak nikt nic nie wiedział – gdzie i czy w ogóle należy się zgłosić. Powiedziano mu, że trzeba się udać do Kowła. Tata dołączył do taboru. Położył swój plecak na furce i maszerował z wojskiem szosą przez las. Nagle nalot. Konie spłoszone zaczęły galopować. Wszystko stało się tak szybko, że tata nie zdążył wskoczyć na furę. Został „goły i bosy”. Gdy dotarł do Kowła nie znalazł nawet śladu po swoim taborze. Cóż miał robić? Szedł wzdłuż toru kolejowego i napotkał pustą walizę, którą pewnie ktoś po obrabowaniu wyrzucił przez okno pociągu. Gdy się zbliżył, okazało się, że nie była ona całkowicie opróżniona. Leżał w niej obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej malowany na szkłe. Tata wziął go i na drugiej stronie napisał ołówkiem: „W czasie wojny w okresie 20 IX 1939 znalazłem ten obrazek w pustej walizie wyrzuconej z pociągu na szlaku Kowel – rzeka Bug”. Wisiał on u nas w domu przez całą okupację, a później razem z nami wędrował do Podkowy Leśnej, Poronina, Poznania, Wrocławia, a po śmierci Rodziców zabrałam go ja.

Mieszkaliśmy na terenie fabryki, w której pracował tatuś. Natychmiast po upadku Warszawy przystąpiono tu do naprawiania zniszczeń dokonanych przez bomby i pociski. Jednocześnie organizowano siatkę konspiracyjną do walki z wrogiem. My, dzieci, nie miałyśmy o tym pojęcia, ale później docierało do nas to i owo. Na ogół jednak starano się nas nie wtajemniczać w te podziemne działania, aby nie stwarzać zagrożenia dla załogi.

Na razie chodziliśmy do szkoły. Nasza piękna szkoła natychmiast została zaanektowana przez hitlerowców na szpital wojskowy. Pozostawiono tylko na trzech piętrach mieszkania dla nauczycieli (siostr fundatorek) oraz jedną klasę, do której wchodziło się prosto z klatki schodowej, gdzie bez przerwy kursowali Niemcy. Uczyliśmy się w jednej izbie podzielonej drewnianym przepierzeniem oraz w pokojach nauczycielek. Licealiści uczęszczali na komplety organizowane w mieszkaniach prywatnych. Była to nauka na beczce prochu. Wszyscy nauczyciele dodatkowo zaangażowani byli w walkę podziemną. Toteż mimo zachowywania pełnej konspiracji wielu z nich przyplaciło życiem swoją działalność. Uczennice coraz częściej wciągane były do walki z wrogiem. Nasza dyrektorka – dzielnicowa komendantka Wojskowej Służby Ochrony Powstania – organizowała nam kursy sanitarne, które rozwinęły się na szeroką skalę po utworzeniu w lutym 1942 roku Armii Krajowej. Dodatkowo z własnej inicjatywy chodziliśmy codziennie po lekcjach na kilka godzin do szpitala. Pracowałyśmy pod kierunkiem wielce zasłużonych dla medycyny i walki podziemnej lekarzy, którzy z poświęceniem przyjmowali na sale szpitalne ludzi rannych w zamachach, chronili ich przed zdemaskowaniem, ułatwiali ucieczkę. Tam właśnie utrwaliłam się w przekonaniu, że moim powołaniem jest chirurgia. Z planów tych nic nie wyszło, bowiem szok przeżyty w czasie Powstania i po jego upadku załamał mnie zupełnie. Po prostu nie wytrzymałabym tego nerwowo, a moją dewizą było zostać dobrym lekarzem albo nie być nim wcale.

W miarę dorastania coraz więcej spraw dotyczących walki z okupantem stawało się dla mnie jasnych. Wiedziałam, że nigdy nie należy pytać, kim są nieznajomi panowie, którzy spędzają u nas noc. Z czasem dowiedziałam się, iż byli to członkowie Kedywu, albo ludzie ukrywający się.

Stryj Henryk – zawodowy wojskowy, mieszkał u nas z ciotką Mychą i Mecią. Pracował w fabrycznej stolarni, gdzie przechowywał i konserwował broń wydawaną chłopcom na różne akcje przez dyrektora zakładu. Fabryka (Monopol Tytoniowy przy ul. Kaliskiej 1) zatrudniała 2000 ludzi pracujących na trzy zmiany. Produkowano tu papierosy na rynek wewnętrzny, ale przede wszystkim dla Wehrmachtu. Oczywiście pod komisarycznym zarządem niemieckim. Co pewien czas jakiś zdrajca zawiadamiał Gestapo o dokonywanych kradzieżach, ale komisarz (Austriak) zawsze informował polskie kierownictwo zakładu o mającym nastąpić „nalocie”. Wszyscy posiadający coś „trefnego” natychmiast chowali to do niedostępnych skrytek.

Fabryka z uwagi na charakter produkcji była źródłem obfitości, z którego korzystali wszyscy potrzebujący. I tak papierosy dostawał „Patronat”, zaopatrujący więźniów politycznych, żołnierzy rannych i leczących się w szpitalu ujazdowskim. Wysyłano paczki do oflagów i stalagów, wspierano rezerwistki pozbawione swych żywicieli, pomagano pracownikom znajdującym się w ciężkiej sytuacji lub ukrywającym się. Szły transporty do lasu dla partyzantów. No tak, trzeba było zaopatrzyć tych wszystkich wymienionych. Ale jak to przerzucić przez portiernię obstawioną volksdeuschami, którzy

mieli prawo każdego zrewidować? Robotnicy wychodząc z fabryki przechodzili pojedynczo między rozstawionymi na ten czas barierami i zmuszeni byli pociągać za uchwyt, który powodował zapalenie się światełka, wskazując osobę wyznaczoną do rewizji osobistej. Pracowników zamieszkałych na terenie zakładu z reguły nie sprawdzano. Cała dystrybucja towaru odbywała się w ich mieszkaniach. Pamiętam, że u nas w sypialni stał stół, na którym dokonywaliśmy podziału przemyconych papierosów na paczki po 100 sztuk. Wynoszeniem tego poza osiedle fabryczne zajmowały się z reguły kilkunastoletnie dziewczynki. Wymyśliłam sposób, z którego potem wszyscy korzystali. Paczuszki – jedną za drugą – wkładało się do pończochy, którą z kolei przypinało się do spódniczki. Dla niepoznaki zakładałyśmy na siebie luźny płaszcz.

Na terenie monopolu od 1940 roku magazynowano broń i amunicję. Wypożyczał ją na akcję dyrektor fabryki. Po wykonaniu zadania broń wracała do magazynu i poddawana była konserwacji.

Często powiadamiano akowców, kiedy będzie wyjeżdżał z fabryki transport papierosów. Wówczas w odpowiednim miejscu, najczęściej na skrzyżowaniu ulic, gdzie trzeba było zwolnić, jeden z bronią w rękę wskakiwał do szoferki, a drugi na samochód. Terroryzowali dwóch niemieckich konwojentów i wywozili ich gdzieś do rozwalonego domu. Tam zostawiali ich pod strażą, a sami odjeżdżali w sobie tylko znanym kierunku. W nocy „więźniów” wypuszczali. Zdarzało się, że worek z tytoniem wywożono z fabryki w samochodzie komisarza pod siedzeniem.

Oprócz wynoszenia papierosów stosowano różne formy sabotażu – psucie maszyn, pasów parcianych, wrzucanie opiłków żelaza do oliwy wykorzystywanej przy konserwacji itp. Wszystko to hamowało produkcję i opóźniało wysyłanie transportów na front wschodni.

Gazetki roznosiłyśmy w mufkach, dlatego najłatwiej było to robić zimą. Ale te sprawy traktowałyśmy marginalnie. Najważniejsza była szkoła. Miałyśmy wspaniałych nauczycieli. Pięć sióstr, które założyły tę szkołę, z samozaparciem i wielkim wysiłkiem dbało o nasz rozwój intelektualny. Były to: przełożona pani Wanda Posselt-Szachtmajerowa, dyrektorka Irena Posselt, Janina Posselt, Jadwiga Posselt i Zofia Posselt-Trzepińska. Dyrektorka otwierając nową szkołę rozpoczęła swe przemówienie słowami marszałka Piłsudskiego: „gdy ci powiedzą – muru głową nie przebijesz – nie wierz temu”. I to była ich dewiza, którą wprowadzały w czyn. Na szkolnym sztandarze widniało hasło: „Pod nowe życie kładziemy zrąb”. Wśród nauczycieli panowała atmosfera pełnego zaangażowania i odpowiedzialności za wyniki pracy wychowawczej. Nigdy nie nagradzano nas za naukę, bo to był nasz obowiązek, lecz za pracę społeczną. Zaowocowało to włączeniem się prawie wszystkich dziewcząt do konspiracji. Wiele moich koleżanek zginęło w czasie Powstania. Te, które przeżyły, całym swym życiem spełniały pokładane w nich nadzieje.

Z naszymi profesorami rozumiałyśmy się bez zbędnych słów. Pamiętam wydarzenie z listopada 1943 roku. Szłam właśnie do szkoły na Radomską, gdy na rogu Grójeckiej i Wawelskiej zobaczyłam straszny widok. Ładowano na ciężarówkę rozstrzelanych więźniów. Zauważyłam, że usta mieli zaklejone gipsem. Stałam ze ściśniętym gardłem w obawie, że mogą mnie jako świadka zgarnąć. Ale nie. Świadkowie im nie przeszkadzali. Może nawet stwierdzili, że to będzie przestroga dla innych „bandytów”. Gdy weszłam do klasy, pani dyrektorka już o wszystkim wiedziała od uczennic, które przyszły przede mną. Bez wstępu rozpoczęła poranną modlitwę: „wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków – amen”. Zapanowało ogólne przygnębienie. Ale cóż, trzeba było uczyć się dalej.

Kończył się rok 1943. Atmosfera była napięta. Nasiliły się uliczne egzekucje, które starszym i słabszym psychicznie odbierały nadzieję na doczekanie wolności. Dla poprawienia nastroju postanowiliśmy urządzić Sylwestra. Tańczyło się przy płytach, ale niewiele z tego wychodziło. Niekiedy grali w brydża, inni rozmawiali o najważniejszych sprawach. Zbliżała się godzina 24.00. Umilkła muzyka taneczna i Remek puścił na cały regulator hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”. Na szczęście nikt nie wezwał Gestapo, aby nas aresztowało.

Praca w szpitalu pochłaniała mi coraz więcej czasu. Utrudnieniem stały się codzienne dojazdy do szkoły z Podkowy Leśnej, gdzie zamieszkałyśmy wiosną 1944 roku w obawie przed nalotami. Jeden z takich nalotów – w nocy z 12 na 13 maja 1943 roku – pochłonął kilkanaście ofiar spośród mieszkańców terenu fabryki, ukrytych w żelbetowym magazynie surowca. Bomba wpadła prosto do schronu.

Getto płonęło, a „zyrandole” dodatkowo oświetlały miasto. Było strasznie.

O ile pamiętam nasze wyjazdy do Warszawy (do szkoły) zaczęły się w roku 1942. Zamieszkałyśmy wtedy w Radości u ciotki naszych przyjaciół, która będąc właścicielką domków letniskowych jeden z nich odstąpiła nam. Jazda do szkoły i z powrotem była makabryczna. Wchodziło się i wychodziło z wagonu przez okno. Bombardowanie stolicy odczuwało się tak, jakby działo się to tuż tuż. Żyło się w ciągłym stresie. W roku 1943 – po wspomnianym nalocie – wyjechaliśmy do rodziny, która miała domek letni pod Radzyminem. Do szkoły i do pracy dowoziła nas ciuchcia radzyminska, która podobnie jak kolejka EKD była całkowicie opanowana przez ludzi podziemia, szmuglerów i uczniów. I tu jednak zdarzały się łapanki. Kiedyś w drodze do Warszawy widziałam ludzi powieszonych wzdłuż torów.

Ojciec dostał z Kedywu rozkaz zorganizowania szpitala na czas planowanego powstania. Jako kierownik administracji fabrycznej pod różnymi pretekstami sprowadzał więc łóżka, płótno na pościel i fartuchy, narzędzia chirurgiczne itp. Gromadzono również żywność. Pościel i bieliznę szyły wychowawczynie żłobka i przedszkola, którego klasy miały być zamienione na sale szpitalne. Posiłki miały być gotowane w fabrycznej stołówce w suterenie.

Niemcy ewakuowali się na zachód. Dzień i noc ulicą Grójecką ciągnęły kolumny aut pełnych wojska i sprzętu. Dyrektor fabryki był optymistą. Wierzył, że Powstanie potrwa 3 dni i będziemy wolni. Wszyscy dziwnie liczyli na pomoc zza Wisły. Przyszła niedziela 30 lipca 1944 roku. Łącznik przyjechał do Podkowy po tatę. Bez słowa spakowałam plecak i mimo protestów mamy pojechałam razem z ojcem. Zostałam na Kaliskiej, gdzie miał powstać szpital wojskowy. Ale zanim go zorganizowaliśmy nastąpiły nieprzewidziane wypadki. Piątego dnia Powstania został śmiertelnie ranny dyrektor wytwórni por. Roman Kubec.

Wobec ciągłego zagrożenia od strony Kopińskiej, w obawie o naszych rannych postanowiono ewakuować szpital do prywatnego mieszkania przy ulicy Jotejki. Nie mieliśmy światła ani wody. W dniu 10 sierpnia wpadli tu własowcy i zaczęli mordować rannych, bezbronnych powstańców. Byliśmy bezsilni. W momencie, gdy zesłam do piwnicy zanieść lekarstwo chorej pacjentce, własowcy wtargnęli tam, wrzucili granat, a następnie kazali wszystkim wychodzić. Ktoś zdarł ze mnie fartuch z opaską Czerwonego Krzyża. Kazali nam się ustawić w szeregu z podniesionymi rękami. Zabierali złoto i inne precjoza. Ja na szczęście nie miałam nic świecącego, więc dali mi spokój. Następnie pognali nas Kaliską w stronę Grójeckiej, na zieleniak. Idąc Kaliską zobaczyłam makabryczny widok: na podwórku naprzeciwko bramy wjazdowej do monopolu leżała sarta trupów. Być może niektórzy ludzie jeszcze żyli... Na Grójeckiej, całej zasłanej gruzami, doskoczył do mnie własowiec, ścisnął mocno za ramię i krzyknął: „Ty partyzant! Prowadź do partyzantów!”. Podrzucił przy tym małe pistolecik, w którym odbijały się promienie słoneczne. Stałam jak słup soli. On zaś na zmianę to podrzucił to przykładał mi broń do skroni grożąc, że mnie zabije, jeśli go nie zaprowadzę. Odsiecz przyszła niespodziewanie. Podbiegła do nas pani, której zanoślam do piwnicy lekarstwo. Już z daleka krzyczała do niego po ukraińsku, żeby mnie puścił: „nie widzisz, że to jest dziecko!?”. Mnie zaś wyszarpnęła dosłownie z jego szponów i pchnęła w kierunku rozwalonego domu.

Otumaniona zupełnie dotarłam do zieleniaka. Tam ku mej wielkiej radości spotkałam tatę i mnóstwo znajomych, którzy zaraz zaczęli się rozglądać za kryjówką dla dziewcząt. Nie mam pojęcia skąd przyciągnęli grube bale o kwadratowym przekroju. Ułożyli po dwa jeden na drugim, tworząc jakby sarkofag. Kazali nam się tam położyć, przykryli jakimiś deskami i tak przetrwałyśmy do następnego dnia. Przy samym sarkofagu słyszałyśmy tylko wrzaski własowców i strzały z tych ich cichostrzelnych pistolecików. Trup słał się gęsto. Nie wiem czym się kierowali strzelając, bo chwała Bogu nikogo z naszych nie dosięgła ich kula.

Koło południa kazali nam się ustawić w kolumnę i skierowali na Dworzec Zachodni. Gdy mijaliśmy jakieś rozsypane srebra ojciec schylił się i podniósł łyżkę. „Po co ci ta łyżka tato?” – spytałam. „Bo widzisz – odparł tata – człowiek mając łyżkę nigdy nie będzie głodny. Gdy byłem na froncie włoskim poszedłem z kolegą na patrol. Kiedy szliśmy wzdłuż jaskiń, poczuliśmy zapach gotującej się zupy. W jednej pieczarze stał opuszczony kocioł – widocznie wróg wycofał się w pośpiechu. Byliśmy głodni, ale nie mieliśmy ani menażki ani łyżki”.

Wylądowaliśmy w Pruszkowie. Zapędzono nas do jakiejś dużej hali, w której nie było nawet na czym usiąść. Spotkaliśmy tam kuzynkę, którą przywieźli z Woli. Była to ta sama kuzynka mamy, która we wrześniu 1939 roku wędrowała razem z nami. Miała ze sobą kilkadziesiąt jajek. Radość była ogromna. Stryj znalazł kawał blachy, pozaginał rogi i masowo gotowaliśmy te jajka na jakichś ceglach.

Później pognali nas do transportu. Po drodze Marysia znikła nam z oczu. Więcej jej nie widzieliśmy – zginęła w Bergen-Belsen. Załadowali nas do bydłęcych wagonów, ale nie zaplombowali. Przynajmniej przez szparę docierało do wnętrza świeże powietrze. Był upał. Po pewnym czasie ludzie zaczęli wyskakiwać z wagonów. Rozpoczęła się strzelanina. Wielu zginęło, ale niektórym udało się uciec. Po tym wydarzeniu zatrzymali pociąg i zaplombowali wszystkie drzwi. Tak dojechaliśmy do Skierniewic. W mieście energicznie działało RGO. Co chwila słyhać było krzyk: „Jak to, ludzie jadą w zaplombowanych wagonach!?. Proszę natychmiast je otworzyć!”. Gdy posłusznie otworzyli wagony, zainteresowanie pracowników RGO jeszcze się wzmogło: „Jak to, tu nikt nie zemdlął!?”. W tym momencie zaczęliśmy się rozglądać za osobą nadającą się do tej roli. Trafiło na mego ojca. Schorowany, z zapadniętymi policzkami, idealnie spełniał warunki. Szybko położył się na desce, po czym wyniesiono go i pozostawiono na peronie. Ktoś kazał mi go ratować. Dali mi opaskę RGO, kubek z wodą i wypchnęli z wagonu. Pochyliłam się nad ojcem. Żandarm przystanął przy nas i zapytał, co mu jest. „Nie widzi pan, że zemdlął?” – odpowiedziałam. „No, jak pociąg odjedzie, to zbadają go nasi lekarze na dworcu”. Usłyszałam jak pociąg rusza. Kątem oka zobaczyłam, że stryj oparty o rozsuwane drzwi patrzył za nami. Nie zaplombowali wagonów.

Dobiegli do nas kolejarze. Akcja była sprawna. Złapali ojca i polecili przez tory, przez łąkę do kolonii domków kolejarskich. Ledwie za nimi nadążyła. Weszli do mieszkania, położyli ojca na łóżku i powiedzieli: „Może pan już otworzyć oczy”. Żona któregoś z nich postawiła na stole dymiącą zupę. Powiedziałam, że po drugiej stronie torów mam krewnych w Mokrej Prawej. Zaprowadzili nas na miejsce. Ciotka, której prawie nie znałam, zgotowała nam królewskie przyjęcie. Zmęczeni położyliśmy się spać. Rano poderwał mnie ze snu ktoś głośno wypowiadający moje nazwisko. Myślałam, że przyszedli po nas, ale okazało się, że nie. Odwiedziła nas bardzo miła pani z RGO. Powiedziała, że z pociągu wysadzono dziewczynkę, która widziała nas na peronie i stwierdziła, że bez nas nigdzie nie pójdzie. Była to Mira, 11-letnia siostra mojej przyjaciółki, zamordowanej na jej oczach przez włosowców. Matkę też zabili. Ojciec dziewczynki od roku już nie żył.

Poderwaliśmy się z ojcem z łóżek i razem z panią z RGO – inżynierową Witkowską – poszliśmy na spotkanie z Mirą. Po drodze powiedziała nam, że jest dobrze sytuowana i nie ma dzieci, więc chętnie weźmie dziewczynkę na wychowanie. Mira gdy się o tym dowiedziała zaczęła płakać, że chce iść z nami. Ja tłumaczyłam Tacie, że jesteśmy teraz jak rodzina i nie możemy jej zostawić. Choćby tylko o chlebie i wodzie, ale musimy być razem. No i tak się stało. Mira została z nami. Spaliśmy gdzieś w jakimś pokoju na wiązce słomy. Przez trzy noce krzyczałam z powodu bólu kręgosłupa. W końcu sprowadzili jakiegoś lekarza starszka, który dał mi leki i następnego dnia doszłam do siebie. Ojciec poszedł do lekarza ze swoimi wrzodami żołądka. Skierowali go na prześwietlenie. Dostał jakieś zaświadczenie. Może była to przepustka upoważniająca do wyjazdu pociągiem do Podkowy? – Nie wiem.

Tego samego dnia, kiedy my szykowaliśmy się do wyjazdu do Podkowy, ciocia Marysia (wysiedlona z Monasterzysk) powiedziała do mamy: „Wiesz Jasiu, oni dzisiaj przyjadą. Może zrobimy większy obiad?”. Widząc mamy niedowierzanie dodała: „Oni przyjdą od strony lasu, nie ulicą. Najpierw idzie Fredko, później jakaś dziewczynka, a na końcu Haneczka. Ale nie widzę Henryka. Jest jakiś zamazany..”. No cóż, ciotka miała rację. Przyszliśmy tak jak przewidziała. Radość była ogromna – byliśmy w komplecie. Zastaliśmy w naszym domu jeszcze dwie panie – jedna pracowała w monopolu i znalazła nasz adres w gminie, a druga była jej przygodną znajomą.

Willa, w której mieszkaliśmy, stała pod lasem. Pewnego dnia, gdy rozsiadaliśmy się przy oknie, aby pocerować sobie pończochy, zauważyliśmy po przeciwnej stronie ulicy rozstawione wojsko. Nikt nie wiedział co to znaczy. Na wszelki wypadek kazaliśmy ojcu położyć się do łóżka. Po chwili usłyszeliśmy dobijanie się do drzwi. Mama otworzyła i struchlała. Dwóch żandarmów rozkazało nam wyjść z domu. Jeden wszedł do pokoju, w którym z zamkniętymi oczami, zapadniętymi policzkami i w pozycji „na baczność” leżał ojciec. „Co mu jest?” – zapytał. Wyjęłam z szafy rulon z prześwietleniem żołądka i wrzasnęłam: „Nie widzi pan?! Gruźlica!”. Efekt był natychmiastowy. Wskoczył z pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi. No tak, ale za to wygarnęli z domu obydwie panie, mnie, moją 15-letnią siostrę i chcieli zabrać mamę. Mira rzuciła się mamie na szyję płacząc, że jej nie puści. Oni popatrzyli po sobie, poszwargotali, wreszcie machnęli ręką i poszli. Zabrali tylko mnie z siostrą i obie panie. Popędzili nas do Brwinowa, skąd pociągiem dojechaliśmy do Pruszkowa. Dałam komu kartkę do mamy ze wskazówkami, gdzie i w jaki sposób powinna reklamować. Rzeczywiście tak zrobiła. Rano, gdy nas wygarniali z dużej hali, przybiegła siostra z Czerwonego Krzyża i wywołała nas po nazwisku. Powiedziała, żebyśmy tu na nią poczekały dopóki nie wróci. Niestety, zaledwie odeszła, a już żandarm kazał wszystkim wsiadać do pociągu. Weszliśmy do bydłowego wagonu i smutnie usiadliśmy pod ścianą. W pewnym momencie w drzwiach stanęła kędzierzawa dziewczynka i powiedziała, że wiozą nas na śmierć, bo ona jest Żydówką i została rozpoznana. Po czym rozejrzała się i usiadła obok mnie. Po kilku minutach rozmowy wiedziałam już, że obie jesteśmy wychowankami tej samej szkoły, że ona zdała dużą maturę, jej ojciec jest lekarzem i pracuje w szpitalu na Woli, a matka Francuzka (aryjka) zginęła w getcie lwowskim.

W drzwiach wagonu pojawiła się siostra w białym fartuchu mówiąc, że może uratować jedną osobę. Od razu wysunęłam moją siostrę, jako najmłodszą. Kobieta zdjęła fartuch i kazała jej założyć. Dała jej jeszcze jakąś karteczkę, coś wytłumaczyła i obie oddaliły się. Wyrzałam dyskretnie i serce mi zamarło. Manewr siostry obserwowali gestapowcy ze swojego zielonego wagonu. Gdy obie zbliżyły się do nich, zrobili wielką awanturę. Moją siostrę chcieli wysłać do jakiegoś innego transportu. Ledwie ich ubłagała, żeby pozwolili jej wrócić do mnie.

Wagony zostały zaplombowane. Wyruszyliśmy w nieznaną podróż z obawą i jednocześnie nadzieją, że może nie wiozą nas na śmierć. Co rusz gdzieś się zatrzymywaliśmy. Nie mieliśmy pojęcia dokąd jedziemy. W końcu przez okienko zajrzało słońce, a przez szparę między deskami dojrzelismy nazwę stacji – Marienkirche. „Malbork!” – wykrzyknęliśmy chórem. Właściwie nie było powodu do radości, ale ucieszyła nas znajoma nazwa. Koło południa pociąg zatrzymał się na stacji Tiegenhof (obecnie Nowy Dwór). Kazali nam wysiąść. Następnie zapędzono nas do ciuchci. Jechaliśmy wśród ogródków pełnych kwiatów. W głębi stały czyściutkie domki. Ludzie patrzyli ciekawie, ale już bez tej wrogości, jaką zaszczepili im hitlerowcy mówiąc, że budują obóz dla złych Polaków. Już nie tylko spoglądali, lecz podawali nam wodę, co kiedyś było zabronione.

Skończyły się ogródki, a zaczął się las, w głębi którego widniała biała willa. Potem dowiedzieliśmy się, że mieszak w niej Lagerführer. Nagle zrobiło nam się straszno. Przez drzewa zaczęły prześwitywać druty kolczaste, stanowiące ogrodzenie obozu. Nad bramą widniał napis: „Waldlager Stutthof”.

Wyładowano nas z ciuchci i zapędzono na plac, na którym w słońcu staliśmy parę godzin. W sąsiednim kwartale siedziała w kucki grupa kobiet w białych chusteczkach na głowach. Były to Żydówki.

Ulokowano nas wstępnie w świeżo wybudowanym baraku, w którym na podłodze leżały jeszcze pachnące lasem wióry. Na tych wiórach kazali nam się rozlokować. W porze obiadu dwóch więźniów przyniosło kocioł „zupy”. Wylali ją do koryta – takiego jak dla świń. Nie mieliśmy menażek ani łyżek (przypomniała mi się łyżka znaleziona przez ojca). Ci, którzy mieli jakieś naczynia, czerpali tę bryję prosto z koryta, by po jednym łyku wylać ze wstrętem na ziemię. I tu stało się coś niesamowitego. Więzień, który przyniósł zupełny ukłęk, rozejrzął się czy nie widzi go jakiś Niemiec i nabożnie zlizał z ziemi resztki. Myśmy jeszcze nie wiedzieli, co to jest głód.

Po drugiej stronie podwójnego ogrodzenia, przez które płynął prąd, stało kilku więźniów. Błagalnie patrzyli na ludzi palących papierosy. Zaczęliśmy więc rzucać im, co kto miał. Łapali szczęśliwi, ale prawie płakali, gdy ktoś źle wycelował i papierosy upadały między drutami.

Siedzieliśmy nic nie robiąc i truchleliśmy na myśl, co oni z nami zrobią. W końcu zaczęli brać ludzi partiami do golenia, kąpania i przebierania w pasiaki. Znów powiało grozą. I oto ktoś znalazł w kieszeni ulotkę, jakie Niemcy rzucali nad Warszawą, zachęcając do wyjścia z miasta. Obiecywali przy tym pracę, dom, wikt i opierunek. Zwolaliśmy naradę i zastanawialiśmy się, jak tu wykorzystać tę ulotkę w naszej sytuacji. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie pójść z nią do Lagerführera i poskarżyć się, jakiego to na nas dopuszczono się bezprawia. Przecież zachęceni ofertą naszych „dobroczyńców” właśnie oczekiwaliśmy spełnienia ich obietnic!

Problem rozwiązał się sam, bo z Berlina przyszedł rozkaz, aby w związku ze zbliżającym się frontem kierować ludzi do budowy fortyfikacji. Nasza koleżanka poszła na giełdę pracy i dowiedziała się, że będą wywozić rodziny. Na rogu baraku spotkała kolegę z Powstania, który natychmiast jej się oświadczył – „niech pani będzie moją żoną!”. „No dobrze, ale ja mam jeszcze koleżanki”. „A ja mam kolegów!”. Od słowa do słowa dobraliśmy się parami, drżąc z emocji, czy przypadkiem nie będą sprawdzali dokumentów. Ale nasi „dobroczyńcy” nie byli tacy drobiazgowi. Wyprowadzili nas zaraz do ciuchci i w blasku wschodzącego słońca wyjechaliśmy na dworzec kolejowy. W naszej grupie rej wiodła „ciotka z majdanem”. Tak ją ochrzcił jeden z kolegów i jeden z koleżanek. „Ciotka” miała blond kok, sukienkę w duże koła i mnóstwo walizeczek i torebek, które układała na kocu, wiązała w supel i zarzucała sobie wszystko na plecy. Nie opuszczała jej dobry humor i całe zło, które było naszym udziałem, jej jakby nie dotyczyło. Lubiła się śmiać i śpiewać.

Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą i to budziło największy niepokój. W pewnym momencie pociąg zatrzymał się w szczerym polu i kazano nam wysiadać. Na stertach leżały łopaty, które kazali wziąć i udać się za przewodnikiem. Zaniepokoiło nas, że przyjechał z nami ze Stutthofu niejaki Zielonka – straszna kreatura. Byliśmy przekonani, że będziemy musieli tymi łopatami sami sobie wykopać groby, po czym zostaniemy rozstrzelani. Ale na szczęście nic takiego się nie stało. Szliśmy może ze dwa kilometry, aż dotarliśmy do położonego wśród lasu wzgórza, u stóp którego leżały sterty segmentów z dykty. Okazało się, że mamy sobie z tego budować baraki, w których będziemy mieszkać. W miarę posuwania się budowy stwierdziliśmy, że są to kojce dla koni. Baraki miały okrągły kształt i zadaszenie jak w pagodzie. Nie było podłogi. Naprzeciwko siebie było doje drzwi, a w każdej połowie między nimi po pięć kojców. W każdym z kojców spały po 4 osoby. Nasz barak stanął na szczycie wzgórza, żeby deszcz szybciej spływał. Ale niezależnie od tego marzliśmy potwornie. Spało się we wszystkim, co kto miał. Drewniaki, które dostaliśmy były o kilka numerów za duże i nie nadawały się do wchodzenia pod górę. Najczęściej więc nosiliśmy je w rękę. Stąpienie boso po mokrej, a później pokrytej szronem lub śniegiem nie było wcale zabawne.

Zaczęliśmy myśleć o ucieczce. Oczywiście pierwszy pomysł, aby uciekać grupą, nie nadawał się do realizacji. Wpadlibyśmy natychmiast. Projekt upadł, ale nie pojawił się żaden inny. Postanowiłam zatem uciekać tylko z moją 15-letnią siostrą. Poszliśmy z ludźmi do roboty w lesie, a stamtąd wydostałyśmy się na szosę przemykając między krzewami, aby nie dostrzegli nas karabinierzy. Udało się. Przed nami 12 kilometrów do Grudziądza. Wzięłyśmy ze sobą ręcznik i „mydło”, aby w razie wpadki wytłumaczyć się, że idziemy się wykapać, bo w obozie są wszy. Już na obrzeżach miasta dopadł nas żandarm na rowerze i od razu zaprowadził na odwach na przesłuchanie. Wypytywał każdą z osobna. Pierwsza musiała zeznawać tak głośno, żeby druga, siedząca w poczekalni, wszystko dobrze słyszała i powtórzyła słowo w słowo. Niestety na tym się nie skończyło. Żandarm zaprowadził nas do centrum miasta, do jakiegoś budynku z czerwonej cegły. Kazał wejść do pokoju, w którym przy stoliku siedział młody gestapowiec. Ten zaraz skierował na nas snop ostrego światła. Trzeba było mu opowiadać wszystko od początku. Po jakimś czasie wyszedł. Te wyjścia i powroty powtarzały się w nieskończoność. Nawet nie spostrzegliśmy, kiedy minęła noc i nastał ranek. W końcu powiedziano nam, że będziemy



mogły wykapać się w łaźni, a w tym czasie nasze ubrania pójdą do odwyszalni. Potem dostaniemy przepustkę, aby nas po drodze władze nie niepokoily i wrócimy do obozu.

W obozie opowiedziałyśmy wszystko współwięźniom. Nasza opowieść zbulwersowała ich i stała się przestrogą dla ewentualnych innych uciekinierów. Niestety sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Słychać było zbliżający się front. Nie poprawiło to jednak naszej sytuacji. Moja siostra dostała czyraków na głowie. „Schwester” polala jej to jakimś żrącym środkiem, który spłynął na twarz. Przez trzy dni Baśka nic nie widziała. Wpadłam w panikę – przecież była oczkiem w głowie moich Rodziców. Ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

W Grudniądzu mieszkał kuzyn mojej ciotki, który obiecał mi sfinansować powrót do domu, jeżeli uda mi się uciec z obozu. Korzystając z tej oferty i z tego, że ludzie z Grudziądza, którzy przychodzili do lasu przynieśli jakieś półbuty dla mnie i siostry, postanowiłam uciekać jeszcze raz.

Był grudzień – rano ciemno i wczesnym popołudniem zapada zmierzch. Może uda nam się przemknąć niezauważenie. Baśce spalona skóra schodziła z twarzy, zawinęłam jej więc głowę ręcznikiem i na to nałożyłam kapturek wiązany pod szyją, przysłany w paczce przez Babcie. Ja miałam półbuty z pękniętymi, gumowymi podeszwami. Musiałam iść ostrożnie, aby obuwie nie najadło się śniegu. Było –20 stopni. Miałam czarny plecak, podobny do niemieckiego i największą formatem gazetę „Völkischer Beobachter”, aby w pociągu pod jej osłoną obmyślać plan dalszej podróży. Z biletami w rękę wsiadliśmy do pociągu. Można je było wykupić tylko na odległość do 100 kilometrów, musiałyśmy więc wysiąść w Toruniu. Potem pojechaliśmy do Włocławka, gdzie na stacji w jednym z okienek pracowała kuzynka naszej obozowej koleżanki. Miała nam pomóc (poprzez swych krewnych) dotrzeć do Żychlina i przejść przez granicę. Niestety, gdy dojeżdżaliśmy do Włocławka, czerń nocy rozświetliła jakaś luna. Niebawem okazało się, że to jupitery. Całą stację obstawili żandarmi. Co robić? Jak się przedrzeć przez ten kordon uzbrojonych ludzi? Baśce kazałam iść za mną nie spiesząc się, jakby to, co dzieje się na stacji, nas nie dotyczyło. Weszliśmy na dworzec, przeszliśmy koło budki biletera, w której siedział jakiś szkop. Na razie udało się. Co dalej? Zaplanowałyśmy nocleg na stacji, a rano miałyśmy zgłosić się do okienka, gdzie powinna urzędować nasza wybawczyni. Tymczasem trzeba było wyjść do miasta – o głodzie i na trzaskający mróz. Załamalam się. Powiedziałam do Baśki, że musimy po prostu wejść do jakiejś bramy i tam przespaać do rana. Ale gdy tak szłyśmy, usłyszałyśmy rozmowę po polsku trzech starszych panów. Palili papierosy. Nie zastanawiałam się wiele. Będąc w skrajnej rozpaczce podeszłam do nich i zapytałam: „Czy mogą nas panowie przenocować?”. Rozświetlili nasze twarze płomykami papierosów. „Wy z obozu?”. „Tak”. Natychmiast rozstali się z kolegą i zabrali nas ze sobą. Weszliśmy do ciepłego domku, w którym od razu dali nam gorącego mleka, jajecznicę i już nie wiem co. Zaraz po kolacji zasnęłyśmy w czystej pościeli w szerokim łóżku.

Rano jeden z tych panów udał się na dworzec sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Podjękowałyśmy za gościnę i poszłyśmy szukać osoby, która mogła nam pomóc. Znalazłyśmy. Natychmiast wyszła z okienka i poszła do kasy, aby kupić nam bilety do Kutna. Kasjerka wydała je, ale spojrzawszy na nas cofnęła rękę. Nasza dobrodziejka odeszła od kasy blada jak ściana. Oddała nam pieniądze i gestem dała do zrozumienia, że nic nie może zrobić. Było mi bardzo przykro. Ale oto ludzie dobrej woli, którzy stali w kolejce do kasy wzdłuż ściany i obserwowali tę scenę, zaoferowali swoją pomoc. Bez trudu kupili nam bilety.

Jechaliśmy do Kutna. W otwartym przedziale na jednej ławce siedziały jakieś kobiety, z których jedna miała w klapie hakenkreuz. Po przeciwnej stronie spał żołnierz. Usiadłyśmy obok niego. Kobieta ze swastyką przyglądała się nam, po czym zapytała:

- Wy z obozu?
- Tak.
- Dokąd jedziecie?
- Do Kutna.
- To musicie uważać, bo tu wsiada taki jeden cywil i sprawdza. Ja wyjdę i powiem wam który to, a wy idźcie na drugą stronę pociągu i tam poczekajcie, aż przejdzie.

Zrobiłyśmy jak kazała. Po kontroli pociąg ruszył. Położyłam głowę na ramieniu żołnierza i udawałam, że śpię. „Obudziło mnie” delikatne dotknięcie ręki. Otworzyłam oczy, oczywiście „zaspane” i ujrzałam konduktora. Grzecznie prosił o bilety. Sięgnęłam do kieszeni i podałam mu je. Zmartwił się, że już niestety Kutno minęliśmy, ale to nic nie szkodzi, bo za chwilę będzie stacja, na której wysiądziemy i za 20 minut będziemy miały pociąg powrotny. Kobieta ze swastyką cały czas za jego plecami mrugała, że to nic, że damy sobie radę. Gdy wyszedł powiedziała, że ta stacja to Ozorków. Możemy wysiąść i na pętli wsiąść w tramwaj i pojechać do Łodzi. Byłam jej bardzo wdzięczna za tę pomoc. Bez niej być może nie dałybyśmy sobie rady. Poradziła jeszcze, że najlepiej pojechać do Pabianic i tam przejść granicę.

W Ozorkowie na pętli również buszowali żandarmi. Ale nas taktownie ominęli. Pojechaliśmy do Łodzi. I znów na podeście tramwaju jakiś młody mężczyzna z tą przeklętą swastyką zapytał, czy jesteś z obozu. Co miałam odpowiedzieć?! Tak. Spytał dokąd chcemy jechać i poradził, którym

tramwajem dotrzemy do Pabianic. Jechało się tam całą godzinę. Gdy byliśmy na miejscu zapadła już czarna noc. Ale niestety powiedziano nam, że granicę można przejść tylko w Tuszynie. A zatem trzeba było wrócić do Łodzi i tam przesiąść się w inny tramwaj. Wróciliśmy. Następną godzinę z głowy.

Wreszcie znalazłyśmy się we właściwym tramwaju. Wsiadłyśmy na pętli w Tuszynie. Ciemno, bezgwiezdna noc. Ludzie rozpięchli się w jednej chwili. Zapadła cisza. Boże, jak chciało mi się płakać! Żadnego domostwa. Nikogo. Ale wtedy moją uwagę zwróciła para – kobieta i mężczyzna, która czyniąc sporo hałasu blaszanymi bańkami kierowała się ku szosie. Dogoniłyśmy ich. Zapytałam, czy będą przechodzili granicę. Popatrzyli na nas spode łba i po chwili milczenia usłyszałam potwierdzenie. Gdy powiedziałam, że jesteśmy z obozu zgodzili się wziąć nas ze sobą. Kazali zachowywać się cicho i nie rozmawiać. Nagle usłyszeliśmy warkot motoru. Szybko ukryliśmy się w rowie, a gdy przejechał ponownie wyszliśmy na drogę.

Nie wiem jak długo szliśmy. Wydawało mi się, że całe wieki. Jeszcze raz trzeba było skakać do rowu, gdy patrol wracał. W końcu doszliśmy do lasu, gdzie stała chata. Mężczyzna kazał nam chwilę poczekać przed domem. Powiedział, że zaraz wyjdą. To zaraz trwało bardzo długo. Całe zmarzłyśmy na kość. W końcu wyszli. Podeszli do nas i on odezwał: „Dacie dwa tysiące marek, to was przeprowadzimy”. Struchlałam. „Przecież idziemy z obozu, nie mamy marek”. W końcu zgodził się na mój złoty łańcuszek. I tak był uczciwy, bo nie wyciągnął ręki od razu.

Droga przez pas graniczny była gehenną. Najpierw polem, potem przez szeleszczący las. Klócili się niemiłosiernie. Bańki obijały się jedna o drugą. W końcu wytoczył się księżyc. Stanęliśmy na skraju lasu i wtedy mężczyzna powiedział, aby dać mu ten łańcuszek. Dałam mu go, spuszczać krzyżyk do kieszeni. Spojrzał pod światło, czy ma próbę, schował i poszliśmy dalej. W pewnym momencie powiedział, żeby teraz bardzo uważać, bo będziemy przeskakiwać granicę. Rozejrzał się czujnie, po czym dał znak do biegu. Pojedynczo przeskakiwaliśmy przez szosę. Byliśmy już w GG. Doszliśmy do wiejskiej drogi i rozstaliśmy się.

Po krótkim marszu zapukałyśmy do okienka jakiejś chałupki. W oknie pojawiła się staruszka. Wpuściła nas, nakarmiła i pozwoliła się przespać. Przed nami było jeszcze 20 kilometrów do Piotrkowa Trybunalskiego. Szłyśmy szosą, aby jak najprędzej dotrzeć do siostry cioci Zosi, u której zatrzymali się wujostwo. Tylko dwa razy skręciłyśmy do odległych domostw, aby się czegoś napić.

Wieczorem dotarłyśmy do Piotrkowa. Krzyk – łapanka! Weszliśmy do piekarni, a piekarz natychmiast z hukiem spuścił żaluzje. Po łapance poszliśmy pod znany nam z listów adres. Drzwi otworzył wujek Klimek. Zaniemówił z wrażenia.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Wujek wysłał do Nowego Targu telegram po tatę z „mocnymi papierami”. Ojciec pracował tam w fabryce ewakuowanej z Warszawy. Z „zapotrzebowaniem na siłę roboczą” wybrał się w podróż do nas. Po drodze miał pół tuzina przygód z tajniakami. Razem wróciliśmy do Nowego Targu, ale do Poronina, gdzie mieszkali Rodzice, już nie było można, bo most zdążyli wysadzić. Pojechaliśmy więc sankami. Było wspaniale – cisza, spokój, tylko stary gazda na koźle gawędził, jak to w Poroninie od miesięcy nikt Niemca nie widział i że tam jak u Pana Boga za piecem. Nagle rozległy się strzały. Gazda podciął konie i skręcił w pole. „Baranice zabierają” – skonstatował.

Było już po Nowym Roku. Rodzice mieszkali w Poroninie na zboczu grapy, naprzeciwko stacji. Po kilku dniach, 10 stycznia 1945 roku, zobaczyliśmy przez okno, jak z pociągu, którym ojciec jechał do pracy wygarnięto wszystkich pasażerów. Ojca zabrali. Gestapo rozeszło się po całym Poroninie, wywlekając kogo się dało. Mnie i siostrę właścicielka pensjonatu ukryła w swoim domku na strychu., a drabinę wyniosła hen za grapę. Siedziałyśmy skostniałe z zimna i ze strachu. Gdy zbliżyłam się do okienka, aby choć z daleka rzucić okiem co się dzieje, zobaczyłam tuż naprzeciwko gestapowca.

Po kilku godzinach alarm odwołano. Drabinę przynieśli i wróciliśmy do „naszego” domu. Ale za chwilę znów alarm: „Gestapo na dole!”. Nie było już ani możliwości ani czasu na przechodzenie do sąsiedniego domku. Biegałyśmy popłochu szukając miejsca, gdzie można się skryć. W ostatniej chwili wpadłyśmy do „kuchenki”, w której na żelaznej kozie mama gotowała obiad. Wzrok padł na łóżko przykryte narzutą. Weszliśmy pod nie, opuszczając narzutę do samej podłogi. Za moment podkute buty zbliżyły się do drzwi. Szarpnęli za klamkę i weszli do środka. Mama z wypiekami odcedzała pyzy. Jeden dymiący półmisek stał już na stole. Zaiskrzyły się oczy przedstawicieli Herrenvolku:

– Was ist das?

– To? To są pyzy... – odpowiedziała mama ze zdziwieniem.

– Pyzy? Was ist das pyzy?

– Panowie nie wiedzą? Nigdy panowie nie jedli? To proszę bardzo, proszę spróbować...

Mama polala sownicę słoniną nasz obiad, złapała półmisek i poprowadziła ich czym prędzej do pokoju. Po kilku minutach, które były wiecznością, dotarło do naszej kryjówki trzaśnięcie obcasami i gorące słowa podziękowań za tak wspaniały obiad. Poszli...